№ 21.

1844.

PRENUMERATA:
Kwartalna . Złp. 4.
Nr. pojedynczy gr. 10.
—
Za odnoszenie do domu kwartalnie Złp. 1.

Wszelkie Doniesienia przyjmują się za opłatą gr. 10. od wiersza. w Nowéj Księgarni.



KURYERKA KRAKOWSKA.

Wychodzi 2 razy w tydzień to jest w Srodę i Sobotę. — W Nowéj Księgarni Nr. 453 w rynku.

KRAKÓW dnia 20 Listopada.

W ARDENNACH.

Za czasów *Napoleona* pozyskał był las ardeński smutną sławę; popełniano w nim uiesłychaną moc zbrodni; podróżni wszelkiego wieku i stopnia, których droga tamtędy prowadziła, znikali tamże bez śladu. Rząd kazał przedsiębrać jak najściślejsze śledztwa, rozpisywał nagrody, dokładał wszelkich starań, aby odszukać nieszczęśliwe ofiary, lub odkryć przynajmniéj, jakim nieodgadnionym sposobem one tam przepadały; ale wszelkie usiłowania żandarmów, którym najpilniejszą baczność zalecono, były zupełnie bezskuteczne. Przetrząsniono całą okolicę; lecz nadaremnie; niedocieczona tajemnica pokrywała sprawców téj zgrozy.

Miałem jednego razu w interessach mojego ojca, majętnego kupca w Paryżu, przedsiębrać podróż przez osławiony las ardeński; lecz w dwudziestym drugim roku, nie zważamy wiele na niebezpieczeństwa; a nadzieja przygód pochlebiała owszem hojnéj młodzieńczéj wyobraźni.

Była to moja piérwsza znaczniejsza podróż, i cieszyło mię, iż mi pozwolono odbywać ją konno.

Poczyniwszy wszelkie przygotowania, otrzymałem od mego ojca zapieczętowany pakiet do jego korrespondenta i list do jenerała M. jego szkolnego przyjaciela. — »Gdym go po raz ostatni widział,« — rzekł ojciec do mnie — »byłeś jeszcze dziecięciem; lecz jest on twym chrzestnym ojcem i mogę ci ręczyć że cię serdecznie przyjmie. Zamek mojego przyjaciela leży o milę przed lasem; polecam cię jego gościnności. Niech cię Bóg prowadzi!«

Boleść, jaką przy pożegnaniu z rodzicami uczułem, uspokoiła się w krótce zajmującą nadzieją romantycznych przygód, których w téj podroży doznawać miałem. Jechałem na dzielnym normandzkim koniu; mając parę pistoletów w olstrach i ładną sumkę pieniędzy w trzosie, rozumiałem, że mogę śmiało oprzeć się wszelkim niebezpieczeństwom. Na trzeci dzień przybyłem do zamku mojego chrzestnego ojca. Oddałem służącemu list polecający; niepo-

trzebowałem długo czekać na odpowiedź. Stary jenerał wyszedł naprzeciw mnie z radością i przyjął mię z prawdziwą ojcowską serdecznością.

Przy obiedzie, który natychmiast dać rozkazano, oznajmiłem mu cel mojéj podróży i dodałem, że skoro tylko koń mój wypoczuie, udam się w dalszą drogę. Lecz temu zamiarowi oparł się jenerał jak najmocniéj; powiedział mi wyraźnie, że podobna myśl jest nieroztropnością, gdyż południe już minęło a ja niemógłbym się przed nocą dostać do ardeńskiego lasu. Wiadomo ci przecież – mówił do mnie — że nawet najzapamiętalsi śmiałkowie nie ważą się jechaę tak późno tym osławionym lasem. Muszę więc użyć tu mojéj powagi i w imieniu twojego ojca nastaję na to, abyś przynajmniéj tę jednę noc przepędził pod moim dachem. Jeżeliś się już uwziął opuścić mię tak prędko, tedy możesz jutro rano odjechać jak wcześnie ci się podoba.« Musiałem wreszcie przystać na jego uwagi, a gdyśmy się wieczór żegnali, oznajmiłem mu, iż chcę jutro przed wschodem słońca odjechać.

Nazajutrz rano, skoro świtać zaczęło, udałem się do stajni, abym sobie sam konia osiodłał. Jenerał wyszedł tuż za mną. »Widzisz.« rzekł do mnie, »że i stary żołnierz umie wcześnie wstawać. Myślałem ja to sobie, iż mi się zechcesz bez pożegnania wymknąć; ale to nie uchodzi mój młody przyjacielu, nie puszczę cię przez las samego; mój stary wierny Piotr pojedzie z tobą, aż póki do bezpieczniejszego miejsca się nie dostaniesz. Dałem mu już potrzebną przestrogę; jest on teraz w kuchni i gotuje ci kawę «

Poddałem się woli jenerała i pożegnawszy go z szczerą wdzięcznością, wyjechałem wraz z Piotrem ku ardeńskiemu lasowi. Za godzinę stanęliśmy u tego osławionego boru. Nimeśmy się w głąb zapuścili, obejrzałem starannie moje pistolety, a Piotr, który był równie dobrze uzbrojony, poszedł za moim przykładem. Tak przygotowani ruszyliśmy w dalszą drogę. Pierwszą pół mili jechałem, muszę się przyznać, z niejakim drżeniem serca, starając się głośną rozmową pokryć moje wzruszenie. Lecz powoli znikala moja trwoga i zacząłem w krótce być téj myśli, że wieści o tutejszych niebezpieczeństwach były zbyt przesadzone. Z tém wszystkiém nie przejeżdżaliśmy obok żadnego krzaka lub gęstym liściem okrytego drzewa, aby się nie mieć na baczności i nie trzymać naszych pistoletów w pogotowiu do strzału Nic jednak nie przerwało całéj naszéj przez las podróży, a około pierwszéj godziny po południu wyjechaliśmy z lasu.

Znajdując się już w otwartém polu, rzekłem z błogiem uczuciem zupełnego bezpieczeństwa »A cóż Piotrze, więc szczęśliwie przejechaliśmy ten las okropny! Teraz przecież nie mamy się już czego obawiać.« — »To jeszcze nie pewna,« odparł stary sługa; »kto wie czy się nam jeszcze co nie przydarzy.«

Smiałem się z jego niedowierzania, przypuściłem konia i zawołałem na niego, aby to samo uczynił. O pół mili od lasu ujrzeliśmy gospodę, któréj powierzchowność daleko powabniejszą była, niż zwykłe oberże w tych stronach bywają. Byłem rad z tego, że się nam nadarzyla sposobność wypocząć przez godzinę i pokrzepić się jakiemi posilkami.

Zsiedliśmy przed główną bramą z koni, a jakiś mały chłopiec zaprowadził nas bocznemi drzwiami do stajni. Podczas gdy Piotr był koło koni zatrudniony, chciałem głównemi drzwiami od gościńca wejść do oberży. W tém postrzegłem młodą dziewczynę nadzwyczajnéj piękności, wyglądającą z okna pierwszego piętra. »*Par ici*, *Monsieur*, *s'il vous plait*,« zawołała słodkim, zapraszającym głosem. W kilku skokach przebiegłem schody i zostałem przez nią zaprowadzony do obszernego, dość licho umeblowanego pokoju, który, jak mi mówiła, miał być salą jadalną.

Wszyscy podróżujący mieli od niepamiętnych czasów przywiléj pozwalania sobie niektórych poufałości z dziewczętami posługującemi w domach zajezdnych. Co do mnie, niebyłem nigdy obojętnym na powaby płci pięknéj, a gdybym nawet był daleko obojętniejszym, to zachwycające dziewczę byłoby wkrótce mój dwudziestoletni rozum zachwiało. Nie widziałem jeszcze nigdy piękniejszéj twarzy; jéj regularne rysy były tak wyraziste, żem jak urzeczony stał przed nią. Do tych tak rzadko w jéj stanie znajdujących się wdzięków łączyła oraz istotnie czarującą nadobność w całéj swojéj postaci. Słowem, pod biła mię od pierwszego spojrzenia. Ale ku mojemu zdziwienin oddaliła się natychmiast z pokoju, i usuwała moje żarty z taką godnością, iżem stracił wszelką nadzieję, i zacząłem się prawie wstydzić mojego z nią obejścia. Nie było w jéj znalezieniu się ani świętoszkowego udawania ani też gniewu; zdawała się raczéj poglądać na mnie z obawą i litością. Zdziwiony i cokolwiek niechętny rzekłem do niéj: »Dlaczegoż mię tak surowo oddalasz od siebie? Nie jestem ja zapewne pierwszym młodym człowiekiem, któremu się twoja ładna twarzyczka podobała, i nic też nie pewiedziałem, czegobyś już była od innych wprzód niesłyszała; lecz zdajesz mi się być smutną i zmartwioną?«

»Tak jest,« odpowiedziała dziewczyna, spoglądając na mnie wzrokiem, który na wieki w mojéj pamięci utkwił — »tak, jestem nadzwyczaj nieszczęśliwa, i pan byś był nim także, gdybyś wiedział, jaki los cię tu czeka!« — »Czegoż mam się tu lękać?« zapytałem nieco drwiąco. — »Pozostaje ci jeszcze tylko trzy godzin życia!« odrzekła cichym i drżącym głosem; »niewiem co mię powoduje odkryć ci tę okrutną tajemnicę; lecz nie zdołam ci jéj zamilczeć. O ucieczce niemożna ani myśleć; za trzy godziny, ulegniesz losowi tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy do tego pokoju wstąpią.« »Prawisz mi jakąś bajkę, aby mię tylko nastraszyć; może układasz jakie miłostki i chcesz mnie się pozbyć w ten sposób« — »Bóg moim świadkiem, że mówię prawdę. Słuchaj pan . . .«

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOSCI.

W *Swarzędzu* w miasteczku o jednę milę od Poznania odległem, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Bo łoto w jesieni 1806 r., kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy niemi ruchu, któren od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tem prócz pana burmistrza nie wiedział. Pod czas jarmarku dopiero, wyjawiła się u chrześcian pogłoska, iż żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że poza *kirkutem* (smętarzem) ta-

kowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w pięknie przybrane rzędy. W głowy zachodzili ciekawsi, co by to znaczyło? bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego kują.

Wiadomość, iż Napoleon cesarz francuzów, w *Swarzędzu* i w okolicach stojące pułki, osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zieleńca.

Jestto młyn wodny w stronie ku Poznaniowi nad brzegiem wielkiego jeziora, uspodu piaszczystej góry miejsce dla *Swarzędza* czarujące, a istotnie z pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Po za karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas byłyby w stanie lichą artylerię zagłuszyć. Już wtenczas każden się mógł domyślić, że owa tajemnica żydowska, była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszéj z południa, krzyknął na dachu siedzący szajgier »*Er kymt*, *er kymt*! (jedzie, jedzie). Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku Napoleon. Wypytywał się własnie jednego z przybocznych jenerałów o strategiczne położenie Swarzędza, oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z poza stajni wybiegł znaczny poczet turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, płaszcze, konie strojne rozmaitéj barwy pokryciem, sznurami, piórami, pałasze, gdzie niegdzie piki i sztandar nadawały téj jeździe szczególniejszy wojenny i azyatycki charakter. Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich, nikt tego wypadku objaśnić nieumiał, w tém wysuwa się najprzód dowódzca jazdy tureckiéj, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza, zdejmuje z głowy turban, mówiąc: *Fürchten Sie nichts kajserliche Majestät! wir sind keine Türken, wir sind Szwerzencer Juden.* (Nie lękaj się wasza cesarska mość, myśmy nie turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie niemiał, odważne turki krzyknęły: »Wiwajt! wielki Cesarz Napoleon, niech żyje! jeszcze raz niech żyje!« i powtórzywszy trzykrotnie »Wiwajt!« usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuzcy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdeczniéj nieuśmiał.

Kraków. W tych dniach przybył do Krakowa znakomity wirtuoz Pan *Felix Jaroński*. Nieraz już pisma peryodyczne Warszawskie donosiły nam o nadzwyczajnym talencie tego 19o letniego młodzieńca. Przejeżdżając przez Kielce dał P. *Jaroński* Koncert na korzyść ubogich, a grą swoją i ślachetnością postępowania, tak ujął mieszkańców, iż ci Go na pamiątkę złotym pierścieniem bogato dyamentami wysadzanym, obdarzyli.— Piszący miał sposobność słyszenia i podziwiania gry tego młodego genialnego ucznia Elsnera i otwarcie wyznać musi że jeżeli w innych mistrzach cenimy, i słusznie, biegłość i nadzwyczajną wprawę, to z gry P. *Jarońskiego* widno serce poetyckiém natchnieniem i ognistem czuciem [illegible] przepełnione. Jego anielskie smętne tony, lejące się z pod palców z niewypowiedzianą szybkością biegnących, uderzają nawet najmniéj muzykalnego słuchacza, wstrzymują go, każą mu zapomnieć o wszystkiém, pochwytują ducha i unoszą w niebiańskie strefy poezyi, otwierają zawarte wrzeciąże do boskich, platonicznych marzeń. Takie przynajmniéj na nas wywarły uczucia, nieporównane waryacye P. *Jarońskiego* na tema smutnéj pieśni. «Pomoc dajcie mi rodacy.» Życzyćby wypadało aby P. *Jaroński* dał się u nas słyszeć publicznie, boć jeżeli Krakowianie nawałem się cisną dla podziwiania gry zagranicznych mistrzów, toć tém chętniéj zapewne usłyszą i ocenią narodowego poetę, który tak wielkie o sobie rokuje nadzieje.

J. B.